Antychryst

Część pierwsza

Tłumaczenie: **Leopold Staff**

PRZEDMOWA

Książka ta przeznaczona jest dla najmniej licznych. Może z nich nawet nikt jeszcze nie żyje. Mogliby to być ci, którzy rozumieją mego Zaratustrę: jakże bym śmiał brać siebie za jednego z tych, dla których już dziś rosną uszy? – Dopiero pojutrze jest moje. Niektórzy rodzą się jako pośmiertni.

Warunki, w których mnie się rozumie i wtedy siłą konieczności rozumie – znam je zbyt dobrze. Trzeba być rzetelnym w rzeczach duchowych aż do twardości, by choć tylko znieść moją powagę, moją namiętność. Trzeba obytym być z życiem na górach – mieć godną politowania gadaninę o codziennej polityce i samolubstwie ludów pod sobą. Trzeba zobojętnieć, trzeba nie pytać, czy prawda jest pożyteczna, czy się dla kogoś fatalnością staje... Upodobanie siły w pytaniach, do których nikt dzisiaj nie ma odwagi; odwaga do tego, co zakazane; skazanie z góry na labirynt. Doświadczenie wyniesione z siedmiu samotności. Nowe uszy dla nowej muzyki. Nowe oczy dla tego, co najdalsze. Nowe sumienie dla prawd, które dotąd były nieme. I wola ekonomii wielkiego stylu: zachowywać swą siłę, swój zapał w skupieniu... Cześć dla siebie; miłość dla siebie; bezwzględna wolność względem siebie...

Dobrze więc! To są jedynie moi czytelnicy, moi prawdziwi czytelnicy, przeznaczeni mi z góry czytelnicy: cóż zależy na reszcie? Reszta to tylko ludzkość. Trzeba być wyższym nad ludzkość siłą, wyżyną ducha – pogardą...

1.

Spójrzmy sobie w twarz. Jesteśmy Hiperborejami – wiemy dość dobrze, jak na uboczu żyjemy. "Ani lądem, ani wodą nie znajdziesz drogi do Hiperborejów": to wiedział o nas już Pindar. Poza Północą, lodem, śmiercią – nasze życie, nasze szczęście... Odkryliśmy szczęście, znamy drogę, znaleźliśmy wyjście z całych tysiącleci labiryntu. Kto inny je znalazł? Czyżby człowiek nowoczesny? "Nie umiem wyjść ni wejść; jestem wszystkim, co wyjść ni wejść nie umie" – wzdycha człowiek nowoczesny...

Na tę nowoczesność byliśmy chorzy – na gnuśny pokój, na kompromis tchórzliwy, na całą cnotliwą niechlujność nowoczesnego "tak" i "nie". Ta tolerancja i *largeur* serca, która wszystko "przebacza", bo wszystko "pojmuje", jest naszym *sirocco*. Raczej wśród lodów żyć niż wśród cnót nowoczesnych i innych wiatrów południowych!...

Byliśmy dość waleczni, nie szczędziliśmy siebie ni innych, lecz nie wiedzieliśmy długo, dokąd nam z naszą walecznością. Sposępnieliśmy, zwano nas fatalistami. Naszym *fatum* była pełnia, napięcie, stężenie sił. Łaknęliśmy błyskawicy i czynów, trzymaliśmy się jak najdalej od szczęścia słabeuszów, od "poddania"... Burza w naszym szalała powietrzu, przyroda, którą

jesteśmy, zaciemniła się – bo nie mieliśmy żadnej drogi. Formuła naszego szczęścia: "tak", "nie", linia prosta, cel...

2.

Co jest dobre? – Wszystko, co uczucie mocy, wolę mocy, moc samą w człowieku podnosi.

Co jest złe? – Wszystko, co ze słabości pochodzi.

Co jest szczęściem? – Uczucie, że moc rośnie, że przezwycięża się opór.

Nie zadowolenie, jeno więcej mocy; nie pokój w ogóle, jeno wojna; nie cnota, jeno dzielność (cnota w stylu odrodzenia, *virtú*, cnota bez moralizny).

Słabi i nieudani niech sczezną: pierwsza zasada naszej miłości dla ludzi. I pomóc należy im jeszcze do tego.

Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek występek? – Litość czynna dla wszystkiego, co nieudane i słabe – chrześcijaństwo...

3.

Nie to, co ma zbudować ludzkość w kolejnym szeregu istot, jest problematem, który tu stawiam (człowiek jest kresem): lecz jaki typ człowieka hodować należy, jakiego chcieć należy, jako wartościowszego, godniejszego życia, pewniejszego przyszłości.

Ten typ wartościowszy istniał już dość często: lecz jako szczęśliwy przypadek, jako wyjątek, nigdy jako chciany. Raczej on właśnie największym przejmował strachem, był dotąd prawie samą straszliwością i z obawy chciano odwrotnego typu, hodowano go, osiągnięto: zwierzę domowe, zwierzę stadne, chore zwierzę człowiecze – chrześcijanina...

4.

Ludzkość nie przedstawia rozwoju ku lepszemu lub silniejszemu lub wyższemu, w ten sposób, jak się to dziś mniema. "Postęp" jest jeno ideą nowoczesną, to znaczy ideą fałszywą. Europejczyk dzisiejszy stoi wartością swoją głęboko pod Europejczykiem odrodzenia; rozwój dalszy nie jest zgoła mocą jakiejś konieczności wywyższeniem, podniesieniem, wzmocnieniem.

W innym znaczeniu udają się ustawicznie na najrozmaitszych miejscach ziemi i na gruncie najrozmaitszych kultur poszczególne wypadki, które rzeczywiście przedstawiają typ wyższy: coś, co w stosunku do zbiorowej ludzkości jest rodzajem nadczłowieka. Takie szczęśliwe wypadki wielkiej udaności były zawsze możliwe i będą może zawsze możliwe. A nawet całe rody, szczepy, ludy mogą w danych okolicznościach przedstawiać taką wygraną.

5.

Nie należy chrześcijaństwa ozdabiać i przystrajać: wydało ono śmiertelną wojnę temu wyższemu typowi człowieka, wyklęło wszystkie podstawowe tego typu instynkty, wydestylowało z tych instynktów zło, samego złego: człowieka silnego jako typowo pogardy godnego, jako "wyrzutka". Chrześcijaństwo stanęło po stronie wszystkiego, co słabe, niskie, nieudane, stworzyło ideał ze sprzeciwiania się samozachowawczym instynktom silnego życia; zepsuło rozum nawet duchowo najsilniejszych, ucząc najwyższe wartości duchowe odczuwać jako grzeszne, na manowce wiodące, jako pokuszenia. Najżałośliwszy przykład: zepsucie Pascala, który wierzył w zepsucie swego rozumu przez grzech pierworodny, podczas gdy był on tylko przez jego chrześcijaństwo zepsuty!

6.

Bolesne, grozą przejmujące ukazało mi się widowisko: ściągnąłem zasłonę z zepsucia człowieka. Słowo to, w moich ustach, bronione jest przynajmniej od jednego podejrzenia: że zawiera moralne oskarżenie człowieka. Jest ono – chciałbym to raz jeszcze podkreślić – wolne od moralizny: i to do tego stopnia, że owo zepsucie tam właśnie najsilniej odczuwam, gdzie dotąd najświadomiej dążono do "cnoty", do "boskości". Rozumiem zepsucie, zgadujecie to już, w znaczeniu *décadence*: twierdzeniem mym jest, że wszystkie wartości, w których ludzkość teraz swe najwyższe pożądania zebrała, są wartościami *décadence*.

Nazywam zwierzę, rodzaj, indywiduum zepsutym, jeśli straci swe instynkty, jeśli wybiera, jeśli przenosi nad inne to, co dlań szkodliwe. Historia "uczuć wyższych", "ideałów ludzkości" – i rzecz możliwa, że będę ją musiał opowiadać – byłaby prawie także wyjaśnieniem, dlaczego człowiek jest tak zepsuty. Życie samo uważam za popęd do wzrostu, trwałości, gromadzenia sił, do mocy: gdzie brak woli mocy, tam jest upadek. Twierdzeniem mym jest, że wszystkim najwyższym wartościom ludzkości brak tej woli, że wartości upadkowe, wartości nihilistyczne panują pod najświętszymi imionami.

7.

Zwie się chrześcijaństwo religią litości. Litość stoi w przeciwieństwie do afektów tonicznych, podnoszących energię poczucia życia: działa depresyjnie. Litując się, traci się siłę. Przez litość zwiększa i zwielokrotnia się jeszcze ubytek siły, który już samo cierpienie przynosi życiu. Samo cierpienie staje się przez litość zaraźliwym; w pewnych okolicznościach można osiągnąć przez nią ogólny ubytek życia i energii życiowej, który stoi w niedorzecznym stosunku do *quantum* przyczyny (wypadek z śmiercią Nazaretańczyka). To jest pierwszy punkt widzenia; lecz istnieje jeszcze ważniejszy.

Jeśli się przypuści, że litość mierzy się wartością reakcji, którą wywoływać zwykła, to niebezpieczny jego dla życia charakter ukazuje się w jeszcze jaśniejszym świetle. Litość krzyżuje na ogół prawo rozwoju, które jest prawem selekcji. Utrzymuje ona przy życiu, co do śmierci dojrzało; broni ku korzyści wydziedziczonych i skazańców życiowych, nadaje

samemu życiu, wskutek bezliku wszelkiego rodzaju nieudanych, których przy nim utrzymuje, wygląd posępny i podejrzany.

Ważono się nazwać litość cnotą (w każdej dostojnej moralności uchodzi ona za słabość); posunięto się dalej, uczyniono z niej samą cnotę, grunt i źródło wszech cnót – tylko oczywista, o czym zawsze pomnieć należy, z punktu widzenia filozofii nihilistycznej, która zaprzeczenie życia na swej wypisała tarczy. Schopenhauer był co do tego w swym prawie: przez litość zaprzecza się życiu, czyni się je bardziej zaprzeczenia godnym – litość jest praktyką nihilizmu.

By rzec raz jeszcze: ten depresyjny i zaraźliwy instynkt krzyżuje owe instynkty, które dążą do utrzymania życia i podwyższenia jego wartości: jest on zarówno jako mnożnik nędzy, jak też jako zachowawca wszystkiego, co nędzne, głównym narzędziem wzmożenia *décadence* – litość namawia do nicości!... Nie mówi się "nicość": natomiast mówi się "zaświat"; lub "Bóg"; lub "życie prawdziwe"; lub nirwana, zbawienie, szczęśliwość...

Ta niewinna retoryka z dziedziny idiosynkrazji religijno-moralnych okazuje się natychmiast o wiele mniej niewinną, gdy się zrozumie, jaka dążność narzuca tu na siebie płaszcz wzniosłych słów: dążność wroga życiu. Schopenhauer był wrogiem życia: dlatego litość stała się dlań cnotą...

Arystoteles, jak wiadomo, widział w litości stan chorobliwy i niebezpieczny, któremu by należało czasem dopomóc środkiem przeczyszczającym: rozumiał on tragedię jako środek przeczyszczający. Ze stanowiska instynktu życia, trzeba by rzeczywiście poszukać środka, by takiemu chorobliwemu i niebezpiecznemu nagromadzeniu litości, jak to przedstawia przykład z Schopenhauerem (i niestety także nasza powszechna literacka i artystyczna *décadence* od Petersburga do Paryż, od Tołstoja do Wagnera), zadać pchnięcie: by pękło...

Nie ma nic niezdrowszego, wśród naszej niezdrowej nowoczesności, nad litość chrześcijańską. Tu być lekarzem, tu być nieubłaganym, tu krajać nożem – to nasze zadanie, to nasz rodzaj miłości człowieka, przez to jesteśmy filozofami i Hiperborejami!

8.

Trzeba koniecznie powiedzieć, kogo odczuwamy jako swoje przeciwieństwo – teologów i wszystko, co krew teologów ma w żyłach – naszą całą filozofię...

Trzeba było fatalność tę widzieć z bliska, lepiej jeszcze, trzeba było doświadczyć jej na sobie, trzeba było zniszczeć przez nią prawie, by tu nie znać już żartu (wolnoduchostwo naszych panów przyrodników i fizjologów jest w moich oczach żartem – brak im namiętności w tych rzeczach, cierpienia z ich powodu). Owo zatrucie sięga o wiele dalej, niż się mniema: odnalazłem instynkt teologiczny "pychy" wszędzie, gdzie człowiek dziś czuje się "idealistą" – gdzie, wskutek wyższego pochodzenia, rości się sobie prawo do patrzenia na rzeczywistość z wyższością i obco...

Idealista ma, zupełnie jak kapłan, wszystkie wielkie pojęcia w ręku (i nie tylko w ręku!), gra nimi z dobrotliwą pogardą przeciw "rozumowi", "zmysłom", "zaszczytom", "dobrobytowi", "wiedzy", widzi podobne rzeczy pod sobą, jako siły szkodzące i uwodne, nad którymi unosi

się duch w czystym "dla siebie" – jak gdyby nie pokora, czystość, ubóstwo, jednym słowem świętość, niewymownie więcej szkody dotychczas życiu przyniosły niż jakiekolwiek straszliwości i występki...

Czysty duch jest czystym kłamstwem... Dopóki kapłan uchodzi jeszcze za wyższy rodzaj człowieka, ten przeczyciel, oszczerca, truciciel życia z powołania, dopóty nie ma odpowiedzi na pytanie: co jest prawdą? Przewrócono już prawdę do góry nogami, skoro świadomy adwokat nicości i zaprzeczenia uchodzi za przedstawiciela "prawdy"...

9.

Temu instynktowi teologów wydaję wojnę: znalazłem ślady jego wszędzie. Kto ma w żyłach krew teologów, stoi do wszystkich rzeczy w stosunku skośnym i nieuczciwym. Patos, który się z tego rozwija, zwie siebie wiarą: zamknięcie raz na zawsze oczu przed sobą, by nie cierpieć z powodu widoku nieuleczalnego fałszu. Z tej błędnej optyki w stosunku do wszystkich rzeczy czyni się sobie morał, cnotę, świętość, żąda się, by żaden inny rodzaj optyki nie śmiał mieć więcej wartości, skoro się własną uświęciło mianami "Bóg", "zbawienie", "wieczność". Wszędzie dogrzebałem się jeszcze instynktu teologów: jest on najbardziej rozpowszechnioną, istotnie podziemną formą fałszu, jaka istnieje na ziemi.

Co teolog jako prawdziwe odczuwa, musi być fałszywe: ma się w tym nieomal kryterium prawdy. Najgłębszy jego instynkt samozachowawczy zabrania dojść rzeczywistości w jakimkolwiek punkcie do czci lub choćby tylko do głosu. Dokąd wpływ teologów sięga, tam przewrócono ocenę wartości do góry nogami, tam pojęcia "prawdziwy" i "fałszywy" są z konieczności odwrócone; co najszkodliwsze dla życia, zwie się tu prawdziwe, co je podnosi, wzmaga, potwierdza, usprawiedliwia i tryumfującym czyni, zowie się fałszywym... Jeśli się zdarzy, że teologowie poprzez "sumienie" książąt (lub ludów) po moc wyciągną, nie wątpmy, co każdym razem w gruncie się dzieje: wola końca, wola nihilistyczna chce dojść do mocy.

10.

Wśród Niemców zrozumieją natychmiast, gdy powiem, że filozofię skaziła krew teologów. Proboszcz protestancki jest dziadkiem filozofii niemieckiej, sam protestantyzm jego *peccatum originale*. Definicja protestantyzmu: jednostronny bezwład chrześcijaństwa – i rozumu... Wystarczy wypowiedzieć słowo "Instytut Tybingeński", by zrozumieć, czym jest w gruncie filozofia niemiecka – podstępną teologią... Szwabi są najlepszymi w Niemczech kłamcami, kłamią niewinnie...

Skąd radość, która z wystąpieniem Kanta przejmowała uczony świat niemiecki, składający się w trzech czwartych z pastorskich i nauczycielskich synów, skąd przekonanie niemieckie, które i dziś jeszcze znajduje swe echo, że od Kanta zaczyna się zwrot ku lepszemu? Instynkt teologiczny w uczonym niemieckim zgadł, co teraz znów umożliwionym zostało... Chyłkowa dróżka do starego ideału stała otworem; pojęcie "świata prawdziwego", pojęcie moralności jako esencji świata (te dwa najzłośliwsze błędy, jakie istnieją!) były teraz znowu, dzięki szczwanie mądremu sceptycyzmowi, jeśli nie do dowiedzenia, to jednak nie do obalenia... Rozum, prawo rozumu nie sięga tak daleko... Uczyniono z rzeczywistości "pozorność"; świat

zgoła zełgany, świat tego, co trwa w bycie, uczyniono rzeczywistością... Powodzenie Kanta było tylko powodzeniem teologicznym: Kant był, podobnie jak Luter, podobnie jak Leibniz, jednym hamulcem więcej w niepewnej siebie rzetelności niemieckiej.

11.

Jeszcze słowo przeciw Kantowi jako moraliście. Pewna cnota musi być naszym wynalazkiem, naszą osobistą konieczną obroną i konieczną potrzebą: w każdym innym znaczeniu jest jeno niebezpieczeństwem, nie jest warunkiem naszego życia, szkodzi mu: cnota tylko z poczucia szacunku dla pojęcia "cnoty", jak chciał Kant, jest szkodliwa. "Cnota", "obowiązek", "dobro w sobie", dobro o charakterze bezosobistości i powszechnej obowiązkowości – majaki mózgu, w których wyraża się zanik, ostateczne osłabienie życia, chińszczyzna królewiecka. Coś odwrotnego nakazują głębsze prawa utrzymania się i wzrostu: by każdy wynalazł sobie swoją cnotę, swój kategoryczny imperatyw. Każdy lud ginie, jeśli swój obowiązek pomiesza z pojęciem obowiązku w ogóle. Nic nie niszczy głębiej, wnętrzniej, niż wszelki obowiązek "nieosobisty", wszelka ofiara na ołtarzu molocha abstrakcji. Że też nie odczuto kategorycznego imperatywu Kanta jako niebezpiecznego dla życia!... Sam instynkt teologiczny wziął go w obronę!

Każdy postępek, do którego zmusza instynkt życia, ma w przyjemności swój dowód, że jest słusznym postępkiem: a każdy nihilista o chrześcijańsko dogmatycznych jelitach rozumiał przyjemność jako zarzut... Co niszczy szybciej niż praca, myślenie, czucie bez konieczności wewnętrznej, bez głęboko osobistego wyboru, bez przyjemności – jako automat obowiązku? Jest to wprost recepta na *décadence*, aż do idiotyzmu... Kant stał się idiotą. I to był współcześnik Goethego! Ten pająk złowieszczy uchodził za Filozofa niemieckiego – uchodzi zań jeszcze!...

Wystrzegam się mówić, co myślę o Niemcach... Nie widziałże Kant w rewolucji francuskiej przejścia z nieorganicznej formy państwa do organicznej? Nie pytałże się, czy nie istnieje zdarzenie, którego by zgoła inaczej wytłumaczyć nie można, chyba tylko moralną zdolnością ludzkości, tak, by raz na zawsze przez nią "dążność ludzkości do dobrego" dowiedzioną została? Odpowiedź Kanta: "jest to rewolucja". Chybiający instynkt w ogóle i w szczególe, przeciwnaturalność jako instynkt, niemiecka *décadence* jako filozofia – jest to Kant!

12.

Pomijam kilku sceptyków, przyzwoity typ w historii filozofii: lecz reszta nie zna najpierwszych wymogów uczciwości intelektualnej. Czynią pospołu to, co kobietki, wszyscy ci wielcy marzyciele i dziwotwory – uważają "piękne uczucia" już za argumenty, "wzniesione łono" za miech bóstwa, przekonanie za kryterium prawdy. W końcu usiłował Kant, w niewinności "niemieckiej" unaukowić tę formę zepsucia, ten brak sumienia intelektualnego pojęciem "rozumu praktycznego": osobno wynalazł rozum na wypadek, w którym nie ma się co troszczyć o rozum, mianowicie, jeśli odzywa się morał, wzniosłe żądanie "powinieneś".

Jeśli się zważy, że u wszystkich prawie ludów filozof jest tylko dalszym rozwojem typu kapłańskiego, to nie dziwi nas już to dziedzictwo po kapłanach, fałszerstwo monet na swój

własny użytek. **Jeśli się ma święte zadania, na przykład polepszać ludzi, ratować, wyzwalać, jeśli się bóstwa w sercu nosi, jeśli się jest trąbą zaświatowych rozkazów, to mając taką misję stoi się już poza zakresem wszystkich tylko z rozumem zgodnych ocen wartości – nawet jest się już uświęconym takim zadaniem, nawet już typem wyższego porządku!... Cóż obchodzi kapłana wiedza! Stoi on na to zbyt wysoko! A kapłan dotąd panował! Ustanawiał pojęcia: "prawdziwy" i "nieprawdziwy"!**

13.

Nie lekceważmy tego: my sami, my duchy wolne, jesteśmy już "przemianą wszystkich wartości", wcielonym ogłoszeniem wojny i zwycięstwa wszystkim starym pojęciom o "prawdziwym" i "nieprawdziwym". Najwartościowsze wniknięcia znajduje się najpóźniej; lecz najwartościowsze wniknięcia to metody. Wszystkie metody, wszystkie założenia teraźniejszej naszej wiedzy miały przez tysiąclecia najgłębszą pogardę przeciw sobie: wskutek nich było się wyłączonym z obcowania z "porządnymi" ludźmi, uchodziło się za "nieprzyjaciela Boga", za gardzącego prawdą, za "opętańca". Jako typ naukowy było się czandalą...

Mieliśmy cały patos ludzkości przeciw sobie – jej pojęcie o tym, czym prawda być winna, czym służba dla prawdy być winna: każde "powinieneś" było dotąd przeciw nam zwrócone... Nasze obiekty, nasze praktyki, nasze zachowanie się ciche, ostrożne, nieufne – wszystko jej zdało się niegodnym i zasługującym na wzgardę.

Można by w końcu z pewną słusznością spytać się, czy to właściwie nie smak estetyczny utrzymywał ludzkość w tak długiej ślepocie: żądała ona od prawdy malarskiego efektu, żądała tak samo od poznającego, by silnie działał na zmysły. Nasza skromność sprzeciwiała się najdłużej jej smakowi... O, jakże to odgadły, te jędory Boga!

14.

Nauczyliśmy się czego innego. Staliśmy się pod każdym względem skromniejsi. Nie wywodzimy już człowieka z "ducha", z "boskości", postawiliśmy go na powrót między zwierzętami. Uważamy go za zwierzę najsilniejsze, bo jest najchytrzejszym: następstwem tego jest jego duchowość. Z drugiej strony bronimy się przeciw próżności, która by i tutaj znów odezwać się mogła: jakoby człowiek był wielkim ukrytym zamysłem zwierzęcego rozwoju. Nie jest on zgoła koroną stworzenia, każde stworzenie jest, obok niego, na równym stopniu doskonałości... I twierdząc to, twierdzimy jeszcze za wiele: człowiek jest, względnie wziąwszy, najbardziej nieudanym zwierzęciem, najchorowitszym, najniebezpieczniej precz od swoich instynktów zbłąkanym – oczywiście, z tym wszystkim, także najbardziej zajmującym!

Co się tyczy zwierząt, to najpierw Kartezjusz, z czcigodną śmiałością ważył się na myśl rozumienia zwierząt jako machina: cała nasza fizjologia wysila się na dowód tego twierdzenia. Nie usuwajmy też, logicznie biorąc, na bok człowieka, jak jeszcze Kartezjusz czynił: co w ogóle dziś o człowieku pojęto, to tyle właśnie, że się go rozumie jako machinę. Niegdyś nadawano człowiekowi, jako jego wyprawę ze strony wyższego porządku, "wolną

wolę": dziś odebraliśmy mu nawet wolę, w tym znaczeniu, że przez to żadnej władzy rozumieć już nie wolno. Stare słowo "wola" służy tylko do określenia wyniku, rodzaju indywidualnej reakcji, która koniecznie następuje po mnóstwie częścią z sobą sprzecznych, częścią zgodnych podniet: wola już nie "działa", już nie "porusza"...

Niegdyś widziano w świadomości człowieka, w "duchu", dowód wyższości jego pochodzenia, jego boskości; by człowieka uzupełnić, radzono mu, na sposób żółwia, wciągnąć w siebie zmysły, zaprzestać obcowania z ziemskością, zrzucić doczesną powłokę: potem pozostałaby po nim treść główna, jego "czysty duch". Także co do tego zorientowaliśmy się lepiej: uświadamianie sobie, "duch", uchodzi u nas właśnie za objaw względnej niedoskonałości organizmu, jako doświadczanie, macanie, chybianie, jako mozół, przy którym niepotrzebnie dużo zużywa się siły nerwowej – przeczymy, że cośkolwiek da się doskonałym uczynić, dopóki się jeszcze uświadamia. "Duch czysty" jest czystą głupotą: odliczmy system nerwowy i zmysły, "doczesną powłokę", a pominiemy w rachunku siebie – nic więcej!...

15.

Ani moralność, ani religia nie styka się w chrześcijaństwie z żadnym punktem rzeczywistości. Same urojone przyczyny ("Bóg", "dusza", "ja", "duch", "wolna wola" – lub też "niewolna"); same urojone skutki ("grzech", "zbawienie", "łaska", "kara", "odpuszczenie grzechu"). Obcowanie urojonych istot ("Bóg", "duchy", "dusze"); urojona wiedza przyrodnicza (antropocentryczna; zupełny brak pojęcia przyczyn przyrodzonych); urojona psychologia (same samonieporozumienia, interpretacje przyjemnych lub nieprzyjemnych uczuć ogólnych, na przykład stanów *nervi sympathici*, z pomocą mowy znakowej religijno-moralnej idiosynkrazji – "kara", "wyrzut sumienia", "pokusa diabelska", "bliskość Boga"); urojona teleologia ("Królestwo Boże", "Sąd Ostateczny", "życie wieczne").

Ten świat czystej fikcji różni się tym bardzo z ujmą dla siebie od świata marzenia, że ten ostatni odzwierciedla rzeczywistość, podczas gdy on rzeczywistość fałszuje, odziera z wartości, zaprzecza jej. Zanim wynaleziono dopiero pojęcie "natura", jako przeciwstawienie pojęcia "Bóg", musiało "naturalny" być słowem na "godny pogardy" – ów cały świat fikcji ma swe korzenie w nienawiści do naturalności (rzeczywistość!), jest on wyrazem głębokiego niesmaku z tego, co rzeczywiste...

Lecz to wyjaśnia wszystko. Kto jedynie ma powody wykłamywania się z rzeczywistości? Kto z jej powodu cierpi. Lecz cierpieć z powodu rzeczywistości znaczy być unieszczęśliwioną rzeczywistością... Przewaga uczuć nieprzyjemnych nad przyjemnymi jest przyczyną owej fikcyjnej moralności i religii: taka przewaga jest formułą na *décadence*...

16.

Do podobnego wniosku zmusza krytyka chrześcijańskiego pojęcia Boga. – Lud, który jeszcze w siebie sam wierzy, ma też jeszcze swego własnego Boga. Czci w nim warunki, dzięki którym jest górą, swoje cnoty, przerzuca swą radość z siebie, swe poczucie mocy w istotę, której dziękczynić za to można. Kto bogaty, chce oddawać; lud dumny potrzebuje Boga, by

składać ofiary... Religia, w obrębie takich założeń, jest formą wdzięczności. Jest się wdzięcznym za samego siebie: po to potrzebuje się Boga. Taki Bóg musi umieć pomagać i szkodzić, musi umieć być przyjacielem jak wrogiem – podziwia się go w dobrym jak w złym. Przeciwnaturalna kastracja Boga na Boga dobra tylko leżałaby tu poza obrębem wszelkiej pożądaności. Potrzebuje się Boga złego tak jak dobrego: zawdzięcza się przecie istnienie własne chyba nie tolerancji i życzliwości dla ludzi...

Cóż by zależało na Bogu, który by nie znał gniewu, zemsty, zawiści, szyderstwa, chytrości, gwałtu? Który by nie znał może nawet zachwycających *ardeurs* zwycięstwa i zniszczenia? Nie rozumiano by takiego Boga: po cóż by go mieć?

Oczywista: jeśli lud ginie; jeśli czuje, że wiara w przyszłość, jego nadzieja wolności ostatecznie znika; jeśli poddanie uświadamia się mu jako pierwszy pożytek, cnoty poddańcze jako warunki utrzymania się, wówczas musi się i Bóg jego zmienić. Staje się on teraz potulny, bojaźliwy, skromny, doradza "spokój duszy", zaprzestania nienawiści, pobłażanie, nawet "miłość" dla przyjaciela i wroga. Moralizuje ustawicznie, włazi w jaskinię każdej cnoty prywatnej, staje się Bogiem każdego, osobą prywatną, kosmopolitą...

Niegdyś przedstawiał jakiś lud, siłę jakiegoś ludu, wszystko, co w duszy jakiegoś ludu było agresywne i spragnione mocy: teraz jest tylko jeszcze dobrym Bogiem...

Rzeczywiście, nie ma innej alternatywy dla Bogów: albo są oni wolą mocy – i tak długo będą bogami ludów – albo niemocą mocy – i wówczas z konieczności stają się dobrymi...

17.

Gdzie w jakiejkolwiek formie wola mocy ginie, istnieje też każdym razem fizjologiczne cofanie się, *décadence*. Bóstwo tej *décadence*, obrzezane na punkcie swych najbardziej męskich cnót i popędów, staje się teraz koniecznie Bogiem fizjologicznie cofniętych, słabych. Zwą oni siebie samych nie słabymi, zwą siebie "dobrymi"...

Rozumie się, już bez potrzeby wskazówki, w jakich dopiero chwilach dziejów możliwą się staje dualistyczna fikcja dobrego i złego Boga. Tym samym instynktem, którym podbici ściągają Boga swego na szczebel "dobra w sobie", wykreślają też z Boga swych zwycięzców dobre właściwości; mszczą się na swych panach tym, że przerabiają na diabła ich Boga. – Bóg dobry, jak i diabeł: obaj wyrodki *décadence*.

Jak można dziś jeszcze ustępować tak bardzo prostoduszności teologów chrześcijańskich, by wyrokować z nimi, że rozwój pojęcia Boga z "Boga Izraela", "Boga ludowego", w Boga chrześcijańskiego, w zbiorowe pojęcie wszelkiego dobra, jest postępem? – Lecz nawet Renan to czyni. Jak gdyby Renan miał prawo do prostoduszności! Przeciwieństwo rzuca się przecie w oczy. Jeśli założenia wznoszącego się życia, jeśli wszelką siłę, waleczność, władczość, dumę wyłączy się z pojęcia Boga, jeśli krok za krokiem zniży się on do symbolu łaski dla znużonych, deski ratunku dla wszystkich tonących, jeśli stanie się Bogiem ludzi biednych, Bogiem grzeszników, Bogiem chorych *par excellence*, a tytuł "Zbawca", "Odkupiciel" niejako ostanie się, jako tytuł boski w ogóle: o czymże mówi taka przemiana? Taka redukcja boskości?

Oczywiście: "Królestwo Boże" większe się przez to stało. Niegdyś miał Bóg tylko swój lud, swój lud "wybrany". Tymczasem poszedł, zupełnie jak sam lud jego, w obczyznę, na wędrówkę, nigdzie odtąd już nie zagrzał miejsca: a w końcu wszędzie czuł się w domu, stał się wielkim kosmopolitą – aż "wielką liczbę" i pół ziemi przeciągnął na swoją stronę. Lecz Bóg "wielkiej liczby", demokrata wśród bogów, nie stał się mimo to dumnym bogiem pogańskim: pozostał Żydem, pozostał Bogiem zakątów, Bogiem wszystkich nor i miejsc ciemnych, wszystkich niezdrowych zaułków całego świata!...

Jego królestwo światowe jest nadal, jak przedtem, królestwem podziemnym, szpitalem, państwem *souterrain*, państwem getta... A on sam tak blady, tak słaby, taki *décadent*... Nawet najbledsi z bladych jeszcze nim owładnęli, panowie metafizycy, albinosy pojęciowe. Osnuwali go tak długo wokoło, aż, zahipnotyzowany ich ruchami, sam stał się pająkiem, sam metafizykiem. Teraz on znów świat wysnuwał z siebie – *sub specie Spinozae* – teraz przekształcał się w coraz większą cienkość i bladość, stał się "ideałem", stał się "czystym duchem", stał się *absolutum*, stał się "rzeczą samą w sobie"... Upadek Boga: Bóg stał się "rzeczą samą w sobie"...

18.

Chrześcijańskie pojęcie Boga – Bóg jako Bóg chorych, Bóg jako pająk, Bóg jako duch – jest jednym z najbardziej zepsutych pojęć Boga, jakie osiągnięto na ziemi; jest ono może nawet miernikiem stanu głębi w zstępującym rozwoju typu boskiego. Bóg wyrodzony w sprzeczność z życiem, zamiast być jego przejaśnieniem i wieczystym "Tak"! W Bogu wrogość zapowiedziana życiu, naturze, woli życia! Bóg formułą dla każdego oczernienia "tego świata", dla każdego kłamstwa o "zaświecie"! W Bogu ubóstwiona nicość, wola nicości uświęcona!...

19.

Że silne rasy Europy północnej nie odepchnęły od siebie Boga chrześcijańskiego, to zaprawdę nie przynosi chwały ich uposażeniu religijnemu, nie mówiąc już o smaku. Z takim chorowitym i osłabłym ze starości wyrodkiem *décadence*, winny były koniecznie dojść do końca. Lecz klątwa ciąży na nich za to, że z nim nie doszły do końca: choroba, starość, sprzeczność weszły im we wszystkie instynkty – żadnego już odtąd Boga nie stworzyły! Dwa tysiąclecia prawie i ani jednego nowego Boga! Lecz wciąż jeszcze i jak coś stałego, jak *ultimatum* i *maximum* tworzącej bogów siły, człowieczego *creator spiritus*, ten politowania godny Bóg chrześcijańskiego monotonoteizmu! Ten mieszańczy twór upadku z zera, pojęcie i sprzeczność, w którym wszystkie instynkty *décadence*, wszystkie tchórzostwa i znużenia duszy mają swe uświęcenie!

20.

Potępieniem chrześcijaństwa nie chciałbym dopuścić się krzywdy na pokrewnej religii, która ilością wyznawców nawet przeważa: na buddyzmie. Obie łączą się z sobą jako religie

nihilistyczne – są religiami *décadence* – obie są oddzielone od siebie w najprzedziwniejszy sposób. Że je teraz porównywać można, za to krytyk chrześcijaństwa głęboko jest wdzięczny uczonym indyjskim.

Buddyzm jest stokroć realistyczniejszy od chrześcijaństwa – ma we krwi dziedzictwo przedmiotowego i chłodnego stawiania problematów, zjawia się po trwającym lat setki ruchu filozoficznym; w chwili pojawienia się jego jest pojęcie "Bóg" już uprzątnięte. Buddyzm jest jedyną właściwie pozytywistyczną religią, jaką nam ukazuje historia, nawet jeszcze w swojej teorii poznania (surowym fenomenalizmie), nie mówi już "walka przeciw grzechowi", lecz, zgoła rzeczywistości przyznając prawo, "walka przeciw cierpieniu". Ma on – to różni go głęboko od chrześcijaństwa – samooszustwo pojęć moralnych już za sobą – stoi, mówiąc moim językiem, poza dobrem i złem.

Oto dwa fakty fizjologiczne, na których spoczywa i które ma na oku: po pierwsze nadmierna pobudliwość wrażliwości, która wyraża się jako wyrafinowana zdolność cierpienia, potem przeduchowienie, nazbyt długie życie w pojęciach i procedurach logicznych, wśród którego instynkt osobowy doznał szkody z korzyścią "bezosobistości" (jedno i drugie stany, które przynajmniej niektórzy moi czytelnicy, "przedmiotowi", jak ja sam, znać będą z doświadczenia). Na gruncie tych fizjologicznych warunków powstała depresja: przeciw niej Budda zabiega higienicznie. Stosuje przeciw niej życie na wolnym powietrzu, życie wędrowne; umiarkowanie i wybór w pożywieniu; ostrożność względem wszystkich *spirituosa*; tak samo ostrożność przed afektami, które żółć wzburzają, rozpalają krew: żadnej troski, ani o siebie, ani o innych. Wymaga wyobrażeń, które ani nie darzą spokojem, ani rozweselają – wynajduje środki do odwyknięcia od innych. Rozumie dobroć, dobrotliwość jako sprzyjające zdrowiu.

Modlitwa jest wykluczona, tak samo jak asceza; żadnego kategorycznego rozkazu, żadnego musu w ogóle, nawet w obrębie zgromadzenia klasztornego (można zawsze wystąpić). To wszystko miały być środki do wzmocnienia owej nadmiernej pobudliwości. Właśnie dlatego nie wymaga też walki z myślącymi inaczej; nauka jego przeciw niczemu nie broni się więcej, niż przeciw uczuciu zemsty, odrazy, *ressentiment* ("nieprzyjaźni nieprzyjaźń kresu nie położy": wzruszający refren całego buddyzmu...). I to słusznie: właśnie te afekty byłyby zgoła niezdrowe ze względu na główny cel dietetyczny.

Znużenie duchowe, które on zastaje i które wyraża się w zbyt wielkiej "przedmiotowości" (to znaczy w osłabieniu interesu indywidualnego, w stracie na wadze, na "egoizmie"), zwalcza, sprowadzając ściśle i najbardziej duchowe interesy do osoby. W nauce Buddy egoizm staje się obowiązkiem: owo "jednego potrzeba", owo "jak ty uwolnisz się od cierpienia" reguluje i ogranicza całą dietę duchową (należy może przypomnieć sobie owego Ateńczyka, który również z czystą "naukowością" wiódł wojnę, Sokratesa, który egoizm osobisty także w państwie problematów podniósł do morału).

21.

Warunkiem buddyzmu jest bardzo miękki klimat, wielka łagodność i swoboda obyczajów, brak militaryzmu; i to, że ruch miał swe ognisko wśród wyższych, a nawet uczonych, stanów. Pragnie się pogody, ciszy i nieżywienia żadnych życzeń, jako celu najwyższego i osiąga się

ten cel. Buddyzm nie jest religią, w której się tylko do doskonałości dąży: doskonałość jest wypadkiem normalnym.

W chrześcijaństwie występują na czoło instynkty podbitych i uciśnionych: najniższe stany szukają w nim zbawienia. Kazuistykę grzechu, samokrytykę, inkwizycję sumienia uprawia się tu jako zajęcie, jako środek przeciw nudzie; podtrzymuje się tu nieustannie afekt dla mocarza, zwanego "Bogiem" (mocą modlitwy); to co najwyższe uchodzi tu za nieosiągalne, za dar, za "łaskę". Brak tu także jawności; kryjówka, ciemna przestrzeń jest chrześcijańska. Ciało jest tu w pogardzie, higienę uchyla się jako zmysłowość; Kościół broni się nawet przeciw czystości (pierwszym zarządzeniem chrześcijańskim po wypędzeniu Maurów było zamknięcie kąpieli publicznych, których sama Kordowa posiadała 270). Chrześcijański jest pewien zmysł okrucieństwa względem siebie i innych; nienawiść do inaczej myślących; wola prześladowania. Posępne i wstrząsające wyobrażenia stoją na pierwszym planie; najbardziej pożądane, najwyższymi mianami określone stany to epilepsoidy; wybiera się tak dietę, by sprzyjała zjawiskom chorobliwym i przedrażniała nerwy. Chrześcijańską jest wrogość śmiertelna przeciw panom ziemi, przeciw "dostojnym" – a zarazem ukryte, tajemne współzawodnictwo (pozostawia się im "ciało", chce się tylko "duszy"...). Chrześcijańską jest nienawiść do ducha, do dumy, odwagi, wolności, *libertinage* ducha; chrześcijańską jest nienawiść do zmysłów, do radości zmysłów, do radości w ogóle...

22.

Chrześcijaństwo, opuściwszy swój pierwszy grunt, stany najniższe, podziemie starożytnego świata, wyszedłszy po moc między ludy barbarzyńskie nie miało tu już jako założenia ludzi znużonych, lecz wewnętrznie zdziczałych i rozdzierających się ludzi – człowieka silnego, lecz nieudanego. Niezadowolenie z siebie, cierpienie z powodu siebie nie jest tu, jak u buddystów, nadmierną pobudliwością i zdolnością cierpienia, raczej odwrotnie, przemożnym pragnieniem zadawania bólu, pragnieniem upustu wewnętrznego napięcia we wrogich działaniach i wyobrażeniach. Chrześcijaństwo potrzebowało barbarzyńskich pojęć i wartości, by stać się barbarzyńców panem: takimi są ofiara z pierwocin, picie krwi przy komunii, pogarda ducha i kultury; tortura w każdej formie, zmysłowa i niezmysłowa; wielki przepych kultu.

Buddyzm jest religią dla ludzi późnych, dla ras dobrotliwych, łagodnych, przeduchowionych, które zbyt łatwo ból odczuwają (Europa będzie jeszcze długo niedojrzała doń): jest on sprowadzeniem ich na powrót do spokoju i pogody, do diety w rzeczach duchowych, do pewnego zahartowania w cielesnych. Chrześcijaństwo chce stać się panem zwierząt drapieżnych; środkiem jego jest uczynić je chorymi, osłabienie jest chrześcijańską receptą celem oswojenia, celem "cywilizacji". Buddyzm jest religią dla końca i znużenia cywilizacji, chrześcijaństwo nie zastaje jej nawet jeszcze – stwarza ją przy sposobności.

23.

Buddyzm, by rzec raz jeszcze, jest stokroć chłodniejszy, prawdziwszy, bardziej przedmiotowy. Nie potrzebuje on już uprzystajniać sobie swego bólu, swej zdolności cierpienia przez interpretację grzechu – mówi jeno, co myśli, "cierpię". Natomiast dla barbarzyńcy cierpienie nie jest w sobie niczym przystojnym: potrzebuje on najpierw

wyłożenia, by przyznać się przed sobą, że cierpi (instynkt jego zwraca go raczej do zaprzeczenia cierpienia, do cichego znoszenia). Słowo "diabeł" było tu dobrodziejstwem: miało się przepotężnego i straszliwego wroga – nie trzeba się było wstydzić, że się cierpi z powodu takiego wroga.

Chrześcijaństwo ma na dnie kilka subtelności, które są własnością Wschodu. Przede wszystkim wie ono, że jest to zgoła w sobie obojętne, czy coś jest prawdziwe, lecz rzeczą najwyższej wagi, o ile się je za prawdziwe uważa. Prawda i wiara, że coś jest prawdziwe: dwa zgoła rozbieżne światy interesów, prawie światy przeciwstawne – dochodzi się do jednego i do drugiego zasadniczo różnymi drogami. Wiedzieć o tym – to czyni na Wschodzie niemal mędrca: tak to rozumieją bramini, tak to rozumie Plato, tak każdy uczeń ezoterycznej mądrości. Jeśli na przykład w wierze, że się jest wybawionym z grzechu, leży szczęście, to uprzednim warunkiem tego nie jest, by człowiek był grzeszny, lecz by czuł się grzesznym. Jeśli jednak w ogóle wiary przede wszystkim potrzeba, to musi się zdyskredytować rozum, poznanie, badanie: droga do prawdy staje się drogą zakazaną.

Silna nadzieja jest daleko większym *stimulans* życia niż jakiekolwiek poszczególne rzeczywiście spełniające się szczęście. Trzeba podtrzymywać cierpiących nadzieją, której żadna rzeczywistość sprzeciwić się nie może, której żadne nie usunie spełnienie: nadzieją zaświatową. (Właśnie z powodu tej zdolności bałamucenia nieszczęśliwego uchodziła nadzieja u Greków za zło najwyższe, za zło istotnie chytre: pozostało w beczce zła).

By miłość możliwą była, musi Bóg być osobą; by najniższe instynkty także przemawiać mogły, musi Bóg być młody. Dla żarliwości kobiet trzeba na pierwszy plan wysunąć pięknego świętego, dla żarliwości mężczyzn Marię. To pod warunkiem, jeśli chrześcijaństwo chce się stać panem na gruncie, gdzie kulty Afrodyty lub Adonisa ustaliły już pojęcie kultu. Wymaganie czystości wzmacnia gwałtowność i wnętrzność religijnego instynktu – czyni kult cieplejszym, bardziej marzycielskim i pełniejszym duszy.

Miłość jest stanem, w którym człowiek widzi rzeczy przeważnie tak, jak nie są. Moc iluzoryczna stoi tu na swej wyżynie, tak samo moc osładzająca, przejaśniająca. W miłości znosi się więcej niż kiedy indziej, ścierpi się wszystko. Trzeba było wynaleźć religię, w której kochać można: przez to wydobyto się ponad to, co najgorsze w życiu – nie widzi się go już zgoła.

Tyle o trzech cnotach chrześcijańskich, wierze, miłości, nadziei; zwę je trzema roztropnościami chrześcijańskimi. – Buddyzm był za późny, za pozytywistyczny na to, by jeszcze w ten sposób być roztropnym.

24.

Dotykam tu tylko problematu powstania chrześcijaństwa. Pierwsze twierdzenie do jego rozwiązania brzmi: chrześcijaństwo rozumieć można jedynie na gruncie, z którego wyrosło – nie jest ono ruchem przeciwko instynktowi żydowskiemu, jest ono samą jego konsekwencją, dalszym wnioskiem jego przejmującej strachem logiki. W formule Zbawiciela: "zbawienie od Żydów pochodzi". – Drugie twierdzenie brzmi: psychologiczny typ Galilejczyka da się jeszcze rozpoznać, lecz dopiero w najzupełniejszym swym zwyrodnieniu (które jest zarazem

okaleczeniem i przeładowaniem obcymi rysami) mógł służyć na to, na co użyty został, za typ Zbawiciela ludzkości.

Żydzi są najprzedziwniejszym ludem w dziejach świata, ponieważ stanąwszy wobec zagadnienia istnienia i nieistnienia, z zupełną i niesamowitą świadomością wybrali istnienie za wszelką cenę: tą ceną było radykalne sfałszowanie wszelkiej natury, wszelkiej naturalności, wszelkiej realności, tak samo całego świata wewnętrznego, jak zewnętrznego. Odgraniczyli się od wszystkich warunków, pod którymi dotąd mógł żyć lud jakiś, pod którymi mu żyć było wolno; stworzyli z siebie pojęcie przeciwstawne naturalnym warunkom – przenicowali kolejno religię, kult, moralność, historię w sposób nieuleczalny na sprzeczność z ich naturalnymi wartościami. Z tym samym zjawiskiem spotykamy się raz jeszcze i to w niewymownie zwiększonych proporcjach, mimo to jako z kopią: Kościołowi chrześcijańskiemu brak, w porównaniu z "ludem świętych", wszelkiej pretensji do oryginalności. Żydzi są, właśnie przez to, najfatalniejszym ludem w dziejach świata: w późniejszym swym oddziaływaniu uczynili ludzkość do tego stopnia fałszywą, że dziś jeszcze chrześcijanin czuć może w sposób antyżydowski, nie rozumiejąc, że jest ostatnią konsekwencją żydowską.

W swej Genealogii Moralności przedstawiłem po raz pierwszy psychologicznie przeciwstawne pojęcia moralności dostojnej i moralności z *ressentiment*, ostatnią jako tę, która wytrysła z "Nie" przeciw pierwszej: lecz to jest na wskroś moralność żydowsko-chrześcijańska. By móc "Nie" mówić wszystkiemu, co przedstawia na ziemi wstępny ruch życia, udaność, moc, piękno, potwierdzenie siebie, musiał tu do geniuszu podniesiony instynkt *ressentiment* sobie świat inny, z którego owo potwierdzenie życia wydało się złym, pogardy godnym w sobie.

Ze stanowiska psychologicznego, był lud żydowski ludem najtęższej siły żywotnej, który postawiony wśród najniemożliwszych warunków, dobrowolnie, z najgłębszej mądrości utrzymania się, bierze stronę wszystkich instynktów *décadence* – nie jako przez nie opanowany, lecz ponieważ odgadł w nich moc, którą przeprzeć siebie można wbrew "światu". Żydzi są przeciwieństwem wszelkiej *décadence*: musieli ją przedstawiać aż do złudzenia, umieli dzięki geniuszowi *non plus ultra* aktorskiemu stanąć na czele wszelkich ruchów *décadence* (jako chrześcijaństwo Pawła), by z nich coś stworzyć, co silniejsze niż wszelka potwierdzająca życie partia. *Décadence* jest dla rodzaju ludzi, którzy w żydostwie i chrześcijaństwie doszli do mocy, dla rodzaju kapłańskiego, tylko środkiem: ten rodzaj ludzi ma interes życiowy w tym by ludzkość chorą uczynić i pojęcia "dobry" i "zły", "prawdziwy" i "fałszywy" przenicować na niebezpieczne dla życia i świat oczerniające znaczenie.